

# Matyszewski, Adam

---

"Byłem sternikiem łodzi, którą płynął arcybiskup" : wywiad z ks. kanonikiem Marianem Olkowskim, w przeddzień 65. rocznicy jego święceń, czyli historia życia najstarszego kapłana diecezji płockiej, pamiętającego abpa A. J. Nowowiejskiego ze swoich czasów seminaryjnych

---

Studia Płockie 36, 197-208

---

2008

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. Marian Olkowski

## „BYŁEM STERNIKIEM ŁODZI, KTÓRĄ PŁYNAŁ ARCYBISKUP”

*Wywiad z ks. kanonikiem Marianem Olkowskim, w przeddzień 65. rocznicy jego święceń, czyli historia życia najstarszego kapłana diecezji płockiej, pamiętającego abpa A. J. Nowowiejskiego ze swoich czasów seminaryjnych.*

**– Może na początku przedstawić czytelnikom „Studiów Płockich” krótki biogram Księdza Kanonika?**

Urodziłem się 24.12.1914 r. w Ciepielewie, w parafii Szekłów pod wezwaniem św. Apostołów Szymona i Judy Tadeusza, w powiecie Maków Mazowiecki. W Ciepielewie ukończyłem szkołę podstawową. W 1929 r. wstąpiłem do Niższego Seminarium Duchownego w Płocku, które zwieńczyłem maturą. W 1935 r. zostałem przyjęty w szeregi alumnów Wyższego Seminarium Duchownego, w 1939 r. studia przerwała wojna. Kontynuowałem je potajemnie do r. 1942, w którym to ks. prałat Wacław Jezusek wystarał się dla mnie o miejsce w seminarium sandomierskim. Po dziewięciomiesięcznym kursie przygotowawczym przyjąłem święcenia kapłańskie 14.04.1943 r. Kilka dni później na Jasnej Górze sprawowałem pierwszą Eucharystię. Nominację wikariuszowską otrzymałem na parafię w Barcicach, gdzie przebywałem 2 lata (1943-1945). Kolejne moje miejsca pracy to: Połęba (1945-1947), Wola Mystkowska (1947-1949), Węgra i Pawłowo (1949-1953), Wyszyny (1953-1963), Bielsk (1963-1975) i Staroźreby (1975-1990). Od 1990 roku jestem tu na emeryturze i mieszkam w plebanii.

**– Jaka była droga Księdza do kapłaństwa, kiedy zrodziła się myśl o wstąpieniu do seminarium?**

O seminarium myślałem od dziecięcych lat, marzyłem o kapłaństwie. Jako chłopiec urządzałem z kolegami procesje wokół domu. Miałem sąsiada, Mariana Batogowskiego, razem chodziliśmy do szkoły w Ciepielewie. Obaj chcieliśmy

„uczyć się” na księdza. No i sprawdziło się, wstąpiliśmy do seminarium w Płocku. Gdy byliśmy na piątym kursie wybuchła wojna. Po zakończeniu działań obronnych, w listopadzie rektor zwołał nas do seminarium. Mieliliśmy tylko jeden miesiąc nauki. Na początku grudnia przyszedł oficer niemiecki i powiedział: „Alle weck!”. Dał trzy godziny na opuszczenie budynków, które miały zostać zajęte przez wojsko niemieckie. Całe szczęście, oznajmił, że gdzie kto chce, niech idzie. Na ogół klerycy wrócili do swoich rodzin, ja też. Mogli nas z powodzeniem wsadzić na samochody i wywieźć gdzieś do obozu, na śmierć. Bo przecież to rośli ich wrogowie. Kto był wrogiem Niemców i komunistów w Polsce? Księża przede wszystkim, dlatego tak się ich szkaluje oczernia w rozmaity sposób, by zepsuć opinię u społeczeństwa, a przecież wielu z nich oddało życie.

– *Co robił Ksiądz po powrocie w rodzinne strony?*

Będąc u rodziców, czekaliśmy na dalszy bieg wydarzeń razem z moim kolegą, dziś już nieżyjącym księdzem Marianem Batogowskim. Mimo działań wojennych uczyliśmy się dalej potajemnie. Jeździliśmy do Płocka na egzaminy, które zdawaliśmy u żyjących jeszcze księży profesorów, tak było do roku 1942. Studium mieliśmy więc skończone, ale nie było nas komu wyświęcić. Czekaliśmy, mając nadzieję, że wojna niedługo się skończy.

– *Długo to oczekiwanie trwało?*

W lipcu 1942 r. pomagałem bratu we żniwach, woziliśmy zboże. Pojechałem z nim na pole snopki podawać na furę, a siostra moja leci, ręką macha, że ma dla mnie list. Był taki w naszej diecezji ksiądz, który się nazywał Jezusek – zdolny i gorliwy bardzo kapłan. Był jakiś czas rektorem seminarium, kanclerzem kurii, wiele urzędów piastował. Proponowano mu nawet sakrę biskupią, ale nie przyjął – podziękował, mówił, że czuje się niegodny. On właśnie opiekował się tymi klerykami rozrzuconymi po diecezji. Szukał dla nich miejsca w seminariach w protektoracie, ponieważ tam kilka seminariów było czynnych (Warszawa, Sandomierz, Kielce). Dla mnie i czterech kolegów z roku znalazł miejsce w Sandomierzu, stąd jego list, w którym pisał: „Jeśli chcesz kończyć seminarium, otrzymać święcenia, przygotowałem dla was miejsce w Sandomierzu, tam będziecie mogli skończyć studia i otrzymać święcenia”.

– *Jaką decyzję Ksiądz Kanonik podjął?*

Tylko dzień się namyślałem. Ale najpierw trzeba było przedostać się przez zieloną granicę, co nie było łatwe. Odważyłem się na przejście obok Ostrołęki, parafia Rzekuń. Niedaleko tego miejsca, blisko granicy między Rzeszą a Gubernią mój brat miał gospodarstwo. Miałem nadzieję, że pomoże mi się przedostać. Tak też się stało. Pojechała ze mną mama, jako przednia straż modlitewna, aby wszystko się udało. Na moment przejścia wybraliśmy najbliższą noc, 31 lipca 1942 r. o północy. Szczęśliwie się stało, że deszcz lał, ciemnica okropna, nic o krok nie widać, ale i dla mnie było nieszczęście – jak ja mam w taką ulewę iść? Woda płynęła mi po plecach. Brat doprowadził mnie do granicy. Był tam mostek i tablice:

„Rzesza – Gubernia”. Wy tłumaczył mi, jak mam się dalej poruszać: „Będziesz szedł torem jakieś sto metrów, potem będzie przejazd kolejowy i droga. Dojdiesz do tego przejazdu, skręcisz w prawo i będzie dróżka, która cię doprowadzi do gospodarza – to mój znajomy, ja z nim nawiązałem już kontakt. Mają się Ciebie spodziewać”.

#### *– Udało się dotrzeć szczęśliwie do celu?*

Brat wrócił, a ja idę do tego przejazdu... nogami namacałem, bo nic nie było widać... skręciłem – jest dróżka. Poszedłem nią może 50 metrów, dróżka się skończyła i wchodzę na zaorane pole... glina, deszcz leje. Wszedłem w tę ziemię, nogi się oblepiły, nie mogę ich unieść. Z mozołem, ale posuwam się po tej glinie. W jakieś druty wszedłem przy granicy, wróciłem się. Serce mi tak waliło, że słyszałem na zewnątrz jego łomot. Odpoczywałem kilka razy, bo nie miałem siły iść. W końcu straciłem w tych ciemnościach orientację i nie wiedziałem, w którą stronę podążać – wszędzie słup ciemności. Zrozpaczony wyciągam różaniec i mówię: „Matko Boża – ratuj!”. Może zmówiłem ze dwie „Zdrowaśki” i nagle słyszę szczeknięcie psa, ale tylko jeden raz. Pomyślałem: „Matko Boża, czy to dla mnie znak? Wysłuchałaś mnie?” Wstałem i w tym kierunku idę po tej glinie. Nóg nie radzę, posuwam się powoli. Często odpoczywam, bo serce łomocze... i sytuacja powtarza się. W tych wstawaniach, podnoszeniach, w tych ciemnościach znowu tracę orientację. Jak Matka Boża raz pomogła, to może będzie już pomagać? Więc znowu wołam: „Matko Boża – ratuj!”. Modlitwa na różańcu i znowu jedno szczeknięcie psa, które słyszę już o wiele wyraźniej, w końcu doszedłem do tego gospodarza... W cudowny sposób przez Matkę Bożą wskazana mi droga.

#### *– Jakie przyjęcie Księdzu zgotowano?*

Przyjęli mnie serdecznie. Musiałem najpierw zdjąć z siebie to mokre ubranie. Gdy stanąłem u nich w kuchni to ściekała po mnie tylko glina z wodą. Powiedziałem: „Niech Państwo idą spać, ja się tu rozbiore, umyję i też położę się spać. Mam w walizce sutannę, ubiorę się po kapłańsku i jutro pojedziemy dalej”. Rano mieli mnie odwieźć na pociąg, stacja Pasieki, koło Goworowa, za Wyszkowem. Konie były już gotowe. Nagle ktoś wpada i krzyczy: „Pogranicznicy idą!” Spojrzałem przez okno, rzeczywiście – idzie jakiś umundurowany człowiek z karabinem w ręku. Krzyczę na cały dom: „Gdzie się wszyscy pochowali? Pouciekali gdzieś?!” Krzyczę, kim jestem – moje nazwisko, żeby jednakowo mówili, w razie jakiegoś dochodzenia: „Jestem wasz kuzyn, mieszkam w Warszawie, byłem tu kilka dni i wyjeżdżam z powrotem do Warszawy!” Usiadłem na ławie w kuchni i czekam. Słyszę pukanie. „Proszę!”. Otwierają się drzwi, wchodzi mężczyzna i mówi: „Niech będzie pochwalony!” Ulżyło mi, znaczy, że to nie Niemiec. Okazało się, że kolejarz. Mój brat skoro świt poleciał do niego, żeby się dowiedział, czy doszedłem do państwa Zaręby. Przekazałem mu parę słów na kartce, wrócił z powrotem. Mama i brat ucieszyli się, że szczęśliwie dotarłem do celu. W drodze do Pasiek zatrzymałem się u proboszcza w Goworowie, który dał furmankę, abym mógł dojechać do stacji kolejowej. Pociąg przyszedł z Ostrołęki. Przeraziłem się, gdy



nadjechał – cały tak załadowany, że aż ciemno w środku. Mało tego – na stopniach z zewnątrz, wzdłuż całego pociągu stoją ludzie i trzymając się czegoś – tak jadą. Pociąg się zatrzymał. Nagle Niemcy i polska policja otoczyli tabor i robią łapankę szmuglerów (szmugiel szedł z Rzeszy do Generalnej Guberni. Szmuglerzy uratowali Warszawę od śmierci głodowej). Otoczyli tych szmuglerów, rewizje prowadzą, sprawdzają im paczki. Do mnie podbiegł jeden żandarm, żeby walizkę otworzyć. Zobaczył, że mam tylko bieliznę i książki, to dał mi spokój. Tłukł koło mnie młodego chłopca kolbą od karabinu, w końcu go zabił i poszedł dalej. Trudno takie momenty wymazać z pamięci. Kiedy więc już swoje zrobili, popędzili gromadę ludzi, a pociąg chce iść dalej. Konduktor krzyczy: „Wsiadać, drzwi zamykać!”. Biegnę więc, żeby jakoś się dostać do środka. Wziąłem za klamkę, ludzie wypadają ze środka – taki tłok. Nie sposób wejść. Stałem bezradny... chyba nie pojedę. Ale znów westchnienie do Matki Bożej: „Kazałaś psu szczekać, by drogę wskazał, poradź, co i teraz?” Tylko to pomyślałem – otwiera się okno w wagonie, młody człowiek wychyla się i pyta: „Ksiądz chce jechać? – Tak, chcę jechać, ale nie mogę się dostać. – Ksiądz daje walizkę!” I wciągnęli mnie tym oknem. Matka Boża i tym razem pomogła. Kto kazał być tak dobrym, żeby się mną zainteresować, zapytać, pomóc? Same cuda się działy.

#### **– Co było potem?**

Śczęśliwie dojechaliśmy do Warszawy. Tam spotkałem czterech kolegów, którzy też byli powiadomieni przez księdza Jezuska. Razem pojechaliśmy dalej, do Sandomierza. Byliśmy tam od sierpnia 1942 r. do kwietnia 1943 r.

#### **– Co przez ten czas ksiądz robił?**

Uzupełnialiśmy studia, których nam brakowało, uczyliśmy się odprawiać Mszę świętą, przygotowywaliśmy się do święceń. Na zimę władze seminarium rozpuściły nas, gdzie kto chciał – do rodziny, do krewnych. Z powodu braku węgla budynek był nie ogrzewany, więc seminarium zamknięto. Nie miałem gdzie się podziąć, więc znowu wołam do Maryi: „Matko Boża, ratuj!” I oto nagle znajduję się ksiądz, który poleca mi kontakt z szarytkami z Kielc prowadzącymi szpitalik dla dzieci chorych. Pojechałem do nich, przyjęły mnie serdecznie. Byłem tam dwa miesiące. Tak mnie podkarmiły, że jak wróciłem do Sandomierza, to mnie koledzy nie poznali.

#### **– Kiedy otrzymał Ksiądz święcenia?**

14 kwietnia 1943 w kaplicy Seminarium Duchownego w Sandomierzu. Święceń udzielił nam biskup Jan Kanty Lorek. Wspaniały i uroczy człowiek. Gdy założył wszystkie szaty liturgiczne, to patrzyło się w niego, jak w obrazek. Razem ze mną wyświęcił wtedy moich kolegów z plockiego seminarium: Romualda Biedrzyckiego, Witolda Białego i Józefa Poskarta.

#### **– Gdzie odprawił Ksiądz pierwszą Mszę?**

Mieliśmy problemy z prymicją. Rodzina cała w Rzeszy. Normalnie pierwszą mszę odprawiało się w rodzinnej parafii, z krewnymi, a tu nie ma nikogo, byłem

sam. Będąc w rodzinnych stronach marzyliśmy z rodzicami, że na moją prymicję pojedziemy na Jasną Górę, ale czasy się odmieniły. Gdzie tu teraz tułać się po świecie i szukać Częstochowy? Nie myślałem o tym. Przypomniałem sobie wtedy o znajomym księdzu Leonardzie Świderskim, proboszczu w jednej spod kieleckich parafii i w tej sprawie zwróciłem się do niego. Ustaliliśmy celebrę na niedzielę przewodnią po Wielkiej Nocy. Tymczasem niespodziewanie przypomniała sobie o mnie pewna znajoma zakonnica z Częstochowy. Mieszkała w klasztorze przy ul. św. Barbary, była szarytką. Czasem się z nią widywałem. Może zapamiętała historię, o której kiedyś opowiadałem – moje marzenie odprawienia pierwszej mszy na Jasnej Górze? Otrzymałem od niej list: „Gdyby ksiądz chciał odprawić prymicję na Jasnej Górze, to ja już wszystko przygotowałam”. Nowy cud! Powiadomiłem zatem księdza Świderskiego, że nie będę u niego i jadę do Częstochowy. Pojechaliliśmy we dwóch, ja i mój kolega Witold Biały. Wtedy nie było jeszcze tzw. koncelebry, tylko jeden kapłan mógł odprawiać mszę, a więc najpierw ja odprawiłem, potem on.

#### – *Co działo się potem?*

Po prymicji na Jasnej Górze pojechałem jeszcze do Kielc i u sióstr, które mnie „przezimowały” miałem drugą Mszę świętą na podziękowanie im za opiekę. Wróciłem do Sandomierza zabrać swoje rzeczy, podziękować księdzu biskupowi i rektorowi. Zastałem wtedy list od księdza Jezuska, który informował, że przygotowany jest dla mnie wikariat na terenie Generalnej Guberni, koło Wyszkowa, w parafii Barcice. Mała parafia, ale nie było gdzie indziej, to tam mnie umieścić jako wikariusza, blisko granicy. Pułtusk był po drugiej stronie granicy. Byłem tam dwa lata do wyzwolenia w 1945 roku. Gdy nadciągali Rosjanie a Niemcy uciekali byłem dwa tygodnie na linii frontowej. Bomby się rwały przy mnie w bunkrze. W rowie leżałem kilka nocy, straszne rzeczy. Kiedy w styczniu Niemcy uciekli za Narew i przysłała armia radziecka, ja dostałem się najpierw do parafii Obyrze – tam miałem zostać, odmieniono jednak nominację na parafię Poręba nad Bugiem, po drugiej stronie Wyszkowa. Cała parafia zburzona, bo tamtędy przesuwali się front niemiecko-radziecki. W lasach tłukli się dwa tygodnie. Wszystko spalone, nie było ani jednej wsi, która by ocalała. Kościół w Porębie zburzony, ruina leżała. I mnie tam teraz posyłają na wikariusza. Jest proboszcz po osiemdziesiątce, ale już nie wychodzi z plebanii, więc ja będę musiał wszystko robić...

#### – *Co zatem należało do Księdza obowiązków na tej placówce?*

Musiałem kościół odbudowywać, obsłużyć dużą parafię i jeszcze dojeżdżać do kościoła filialnego, na terenie parafii – ciężka praca. Ale przyrzekałem biskupowi posłuszeństwo, więc teraz, czy dobrze, czy źle, trzeba słuchać. Zająłem się więc z ludźmi odbudową kościoła. Wspaniali parafianie, grzyby zbierali, jagody i sprzedawali je potem na jarmarkach, targach, a pieniądze dawali na kościół. Do roboty szli, ile tylko było trzeba. A przywódcą ich był najstarszy parafianin, pan Wojciech Gago. Na początku mojej posługi spotkałem się z nimi w Niedzielę Palmową. Msza była na ruinach kościoła, prezbiterium i ołtarz główny ocalały,

tylko nad nimi było sklepienie. Reszta miała pułap drewniany i to wszystko palące się zważyło się do środka i tak leżało. Przy ołtarzu uporządkowaliśmy trochę i można było mszę odprawiać, a ludzie stali na tych ruinach, zgłiszczach, padał deszcz. Po mszy poprosiłem parafian o pozostanie, bo chciałem z nimi porozmawiać. „Gdy przychodzi ksiądz nowy, to się go wita wierszami, kwiatami – powiedziałem. Dziś tego nie będzie, bo nam się raczej płakać chce, aniżeli śpiewać. Przyślano mnie tu, żebym odbudował kościół i zaopiekował się wami. Patrzę na parafię i widzę te sterczące kominy po spalonych domach. Mieszkacie w bunkrach, więc ja nie będę miał odwagi powiedzieć wam „chodźcie do roboty”, czy „dajcie pieniądze”, bo wy sami tego nie macie. Powiedzcie, co o tym myślicie?”. Występuje najstarszy parafianin, Wojciech Gago, i mówi: „Proszę księdza, ja myślałem tak, jeśli najpierw odbudujemy dom Panu Bogu, to Pan Bóg pomoże nam budować nasze domy”. Podszedłem do niego, ucałowałem go serdecznie i mówię: „Lepiej powiedzieć nie mogłeś. Tylko pytam: czy wszyscy tak myślą? – Tak” – podnieśli ręce do góry. Przyjdziecie do roboty, jak będzie trzeba? – Przyjdziemy! Dacie pieniądze, jakie będzie trzeba? – Damy”. I ja z tymi ludźmi w ciągu dwóch lat z tych ruin zbudowaliśmy nowy kościół.

#### ***– Pamięta Ksiądz Kanonik jaką szczególną historię z pobytu w Porębie?***

W okolicznych lasach było pełno partyzantów AK. Co noc była strzelanina między tymi partyzantami a UB. Oba ugrupowania często mnie odwiedzały. Najpierw ci partyzanci, jak się dowiedzieli, że tu nowy ksiądz przyszedł, nawiązali ze mną kontakt. Kościół był nieczynny, ocalała tylko plebania z podziurawionym dachem, woda się lała. W tej plebanii była kaplica. Rano odprawiłem Mszę świętą, idę na wikariat do siebie, na śniadanie. Miałem u siebie matkę i siostrę, które przyszły ze mną, uciekając przed frontem i zostały tu ze mną na stałe. Wracam po mszy i widzę maszerujący oddział ok. 60 żołnierzy z automatami na ramieniu. Prowadzi ich przystojny porucznik. Gdy mnie zauważył, zatrzymał oddział, podszedł do mnie i mówi: „Proszę księdza, prosimy o spowiedź”. Dowódca tej grupy co miesiąc prowadził swoich żołnierzy do spowiedzi, mówił im: „Wiecie, po co tu jesteśmy. Śmierć zagraża nam każdego dnia, musimy być na nią zawsze przygotowani. Dlatego będziemy się często spowiadać”. No i zawiązała się między mną, a jego oddziałem serdeczna przyjaźń. Po udzieleniu im w kaplicy Komunii, otoczyli ołtarzyk, niektórzy mieli książeczkę do nabożeństwa, modliliśmy się. Rozczuliłem się nimi. Zastanawiałem się skąd przyszli, może z daleka, pewnie głodni? Poprosiłem ich na wikariat, przyniosłem kiełbasy, chleba i robię im śniadanie. Jak się potem okazało popełniłem wielkie głupstwo. Za to, co zrobiłem groziła od UB kara śmierci. Żyłem więc w ciągłym niepokoju, bo mocno nabroilem, przyjmując w gościnę naszych żołnierzy. Wiedziałem, że UB może w każdej chwili mnie aresztować i skazać na śmierć. Montowali na mnie proces, który wkrótce miał się odbyć, ale ja o tym nie wiedziałem. Tylko Pan Bóg wiedział i ci, którzy ten proces przygotowywali. Zrozumiałem później, że Pan Bóg chce mnie ratować, bo już wiedział, że lada dzień będzie mój proces. Zsyła więc na mnie chorobę, tak ciężką, że nie mogłem odprawiać mszy. Trzeba się było jakoś ratować. Miałem

znajomego lekarza w Warszawie, doktor Żera, kardiolog. Pojechałem do niego. Zbadał moje serce i zapytał: „W jakich warunkach ksiądz żyje? – Praca ponad siły – odpowiedziałem – odbudowa kościoła, obsługa parafii...”. Przyznałem się również do mojej współpracy z partyzantką. A on powiada: „Musi ksiądz stamtąd czym prędzej uciekać!” Natchniony człowiek. Kto mu każe tak powiedzieć, żebym uciekał...? Pan Bóg wiedział, że tam już coś się na mnie szykuje. Mówił jeszcze, że mam bardzo zniszczone serce i lada dzień mogę klapnąć przy ołtarzu i nie wstać. A ja do niego: „Panie doktorze, proszę o pismo do mojego biskupa z opisem, jak sprawa wygląda”. Pojechałem od razu z Warszawy do Płocka. Przedstawiam biskupowi pismo... i teraz on będzie się spieszył. „Synu, co ja ci dam? Księży nie ma, po dwóch siedzi na parafiach (...). Mam takie dwie parafie nie obsadzone, może jedną z nich byś wziął?”. Mówię: „Wezmę, ale ja chory, czy dam radę? – Pan Bóg Ci pomoże, będzie dobrze”. I daje mi na rękę nominację: Wola Mystkowska koło Pułtusza. Następnego dnia byłem już w nowej parafii. Kilka dni po moim opuszczeniu plebanii do Poręby przyjeżdża UB, żeby mnie aresztować. Pan Bóg wiedział, robota szła, już dzień był wyznaczony. Tak się złożyło (to też robota Pana Boga), że owego dnia przed kościołem stało trzech mężczyzn. Palą papierosy, gadają. Gdyby ich spytano, po coście tu przyszli, nie wiedzieliby, co odpowiedzieć. Tak się jakoś zgadało, że się zesłi. To Pan Bóg ich tu przysłał, bo do czegoś będą potrzebni. Zajeżdża UB i do nich się kieruje: „Gdzie tu ksiądz Olkowski mieszka?” A jeden z nich – natchniony: „Już go nie znajdziecie. – Dlaczego? – Bo nie żyje. Chory od nas odjechał do Warszawy i w szpitalu umarł. – Na pewno? – Na pewno”. Wsiadł w samochód i pojechali do Ostrowi. Moja sprawa poszła do kosza, a ja niedaleko byłem, w Woli Mystkowskiej. Czy nie Pan Bóg dalej działał?

### – *Opatrzność Boża miała Księzda Kanonika w opiece...*

Doświadczałem tego na każdym kroku. Przypominam sobie jeszcze jedną sytuację, w której Pan Bóg dał mi doświadczyć cudu ocalenia od śmierci. Było to chyba wiosną 1940 roku. Jechałem rowerem na jakimś odludziu i nagle słyszę za plecami dziwny warkot. Oglądam się i widzę zbliżający się w moim kierunku niemiecki samolot, który obniża swój lot, jakby celował w moją stronę. Ze strachu przewróciłem się, jakaś siła przetoczyła mnie do rowu i w tym samym momencie na rower posypała się fala pocisków. Leżę nieruchomo, oglądam się za samolotem i z przerażeniem widzę, że wraca z powrotem. Schowałem się za krzakami, znieruchomiałem. Kule zaświstały tuż przed moim nosem. Szczęśliwie ocalałem! (...) Na tym nie koniec cudownych Bożych interwencji. Ledwie rozpocząłem pracę w Woli, a przypomina sobie o mnie ten staruszek, proboszcz z Poręby. Zateśnił za mną. Dobrze się z nim obchodziłem. Mówił do siebie: „A może ten Olkowski, by do mnie wrócił, parafię bym mu oddał”. I przez organistę daje mi znak. Ucieszyłem się tą wiadomością, ponieważ przez budowę świątyni bardzo się z tym kościołem i z ludźmi zżyłem. Leciałbym tam na skrzydłach. Uradowałem się więc i zaproszony przez proboszcza, jadę na odpust do Poręby. Było kilku księży, po nabożeństwie obiad. Proboszcz prawi mi honory, na honorowym miej-



scu sadza swojego dawnego wikarego. Rozjechali się wszyscy, zostaliśmy sami. Czekam, że staruszek rozpocznie ze mną rozmowę na wiadomy temat, a on czeka, że ja zacznę... i tak obaj czekaliśmy. Ktoś nam zamknął usta. Ani on nic nie powiedział, ani ja. Pan Bóg zamknął usta, bo myśmy obaj chcieli zrobić wielkie głupstwo. Przecież Opatrzność cudownie wyratowała mnie od śmierci, a ja z powrotem chcę się pchać do tej Poręby, gdzie komuniści rządzą i chcę tam być proboszczem?! Pan Bóg nam usta zamknął i wróciliśmy z niczym do domu.

**– Jak wspomina Ksiądz pracę w Woli Mystkowskiej?**

W Woli długo nie zabawiłem. Był tam kościół – niefortunnie rozpoczęta budowa. Nowa plebania, ale straszna wilgoć. Nabawiłem się zapalenia stawów do tego stopnia, że nie mogłem chodzić. Kolana mnie bolały. Przeniósł mnie biskup gdzie indziej, na suchą plebanię, ale na dwie parafie – Węgra i Pawłowo. Straszna praca. Tu nabożeństwo, na furmankę, tam nabożeństwo, wracam z powrotem, znów nabożeństwo, do chorych, nauka religii... ja już nie mogę! Piszę więc do biskupa: „Niech będzie najgorsza pipidówka, ale jedna. Za dwie już dziękuję, nie mogę”. Wtedy mnie biskup przeniósł na probostwo do Wyszyn koło Mławy. Tu też czekały mnie duże remonty, ale przeszedłem. Tam byłem 12 lat. Napracowałem się przy kościele, trzeba było dach wymieniać i inne remonty robić. Myślałem, że w tych Wyszynach zostanę, z ludźmi się dogadywałem. Administratorem diecezji był wówczas biskup Jan Wosiński, rok starszy ode mnie kolega z czasów seminarystycznych (do dziś mam na ścianie jego portret, z szacunku do osoby). Pewnego razu przyjechał do mnie na wizytację. Wszystko ładnie się odbyło. Po wizytacji mówi: „Zabieram cię z Wyszyn. Przejdziesz do Bielska, koło Płocka. Tam tworzę nowy dekanat i ciebie mianuję dziekanem”. No i przeszedłem. Byłem tu znowu 12 lat. Kościół ładny, ale trudny do utrzymania. Okien nie było, witraże wyleciały od huku bomb. Dużo było roboty, napracowałem się, nie było łatwo. Próbowałem nawet przenieść się gdzie indziej...

**– W końcu udało się?**

Zdarzyło się, że proboszcz ze Starożreb zmarł tragicznie w wypadku samochodowym. Jechał na odpust do Koziebród i wracając samochodem z parafianinem zderzyli się z pociągiem. Ksiądz doznał poważnego uszkodzenia czaszki, zmarł w szpitalu w Sierpcu. Kierowca miał połamane nogi. No i Starożreby zawakowane. Biskup mnie wzywa: „Chciałeś opuścić Bielsk, to może Starożreby weźmiesz? – Spróbuję – odpowiedziałem”. I od tamtej pory tutaj jestem. Minęły 33 lata – 16 lat jako proboszcz i resztę jako emeryt. Taka była moja kapłańska droga – w wielkim skrócie.

**– Pamięta Ksiądz pierwsze swoje spotkanie z biskupem Nowowiejskim?**

Po raz pierwszy spotkałem się z nim, kiedy miałem 12 lat. W mojej rodzinnej parafii, w Szelkowie, była wizytacja, przyjechał na nią biskup Nowowiejski. Przystępowałem wtedy do bierzmowania i on mnie bierzmował. Zostanie w mojej pamięci i sercu do końca życia.

**– Rozumiem, że Ksiądz Arcybiskup dał się dobrze zapamiętać?**

Miałem wrażenie, że to święty człowiek. Szła od niego jakaś wielkość, jakaś duchowa moc.

**– Kolejne spotkania z Ordynariuszem?**

Potem spotykałem się z nim w Niższym Seminarium Duchownym w Płocku. Trafiłem tu po ukończeniu podstawówki, był rok 1929. Arcybiskup często przychodził do nas, wszak to on stworzył tę szkołę. Tutaj jako uczeń spotykałem się z Biskupem razem z alumnami. A dwa, czy trzy razy, tak się zdarzyło, że przyszedł nas odwiedzić bez zapowiedzi. Profesor od języka polskiego i łaciny, ks. Góralski, zaraz się starał na prędcę jakąś „akademijkę” urządzić, żeby Biskupa jakoś uczcić, zainteresować. Ja z polskiego miałem piątkę, więc jak przyszło, co do czego, ksiądz profesor leci do mnie i pyta: „Marian, może byś coś powiedział? – Ale co? – pytam. – Ty się Tetmajerem interesowałeś, bajki, zabawy góralskie opowiadałeś, to może z tego byś coś wybrał? – Dobra, „Sabałową bajkę” powiem”. No i udało się, Biskup się cieszył. Za rok to samo się powtórzyło, znów Biskup, znowu na akademię kogoś szukają, no i znowu ks. Góralski mnie znalazł. Tym razem powiedziałem wierszyk „Dziad i baba”. Bardzo się Biskup uradował...i już poznaliśmy się na dobre.

**– A w czasie pobytu w Wyższym Seminarium?**

Jako kleryk należałem do asysty biskupiej. W katedrze podczas nabożeństw z Biskupem to zawsze była cała asysta: diakon, subdiakon, do świec, do dzwonek. Najpierw miałem taką funkcję, że jak Biskup wchodził do katedry, to biegłem do niego z taczką. Ordynariusz zdejmował z głowy piuszkę i kładł ją na tę taczkę. Moim obowiązkiem było zanieść ją na ołtarz, a potem, po nabożeństwie, wziąć ją od ołtarza i przynieść do tych samych drzwi, żeby biskup ją włożył i wrócił do domu. Piastowałem tę funkcję przez dwa lata. Także Biskup mówił mi już po imieniu. Pewną ciekawostką było, że na uroczystości do katedry za Biskupem szedł z walizeczką lokaj. Miał w tej walizce sandały haftowane w kilku kolorach, odpowiednio do koloru ornatów. Biskup zdejmował swoje obuwie i zakładał te sandały na nogi. To był na ówczesne czasy niezbędny strój liturgiczny. A jak szedł z pastorałem od drzwi głównych do ołtarza to na jedną i drugą stronę błogosławił zebranych wiernych – coś wspomniałem.

**– Jakie jeszcze funkcje Ksiądz pełnił?**

Jako starszy kleryk należałem do tej samej asysty, ale na trzecim czy czwartym kursie wyznaczono mnie do noszenia pastorału. Jak biskup urzęduje to takie są momenty, że oddaje go, bo zajęty jest mszą, a kleryk w kapie i w welonie stoi przy ołtarzu i trzyma pastorał. Bardzo byłem dumny z tej roli. Mam nawet zdjęcie z Bożego Ciała, kiedy ulicami Płocka szła procesja. Arcybiskup Nowowiejski prowadzi – niesie Najświętszy Sakrament, a przed nim, przed baldachimem ja idę z pastorałem, jaka to była duma! Tak wyglądały moje spotkania z Arcybiskupem podczas różnych ceremonii.

### **– Jak alumni spędzali czas wolny od zajęć?**

W roku szkolnym były to przede wszystkim wypadki na miasto. Polegały one na wspólnym wyjściu większej grupy kleryków pod opieką wychowawcy, w pełnym rynsztunku: w sutannach, kapeluszu i pelerynie. Biedny kleryk, który został zauważony bez jednego z tych studenckich emblematów.

### **– A podczas wakacji?**

Wakacje seminarium spędzało w Brwilnie, w stynnej „Antoniówce”. Jeśli ktoś z alumnów chciał, mógł tam przebywać nawet całe wakacje. Biskup często do nas przyjeżdżał na tydzień, czy dwa. Siedział sobie na balkonie, czytał, chodził na spacer po ogrodzie, po lesie. Zawsze ktoś z alumnów mu asystował i w razie potrzeby pomagał. W „Antoniówce” była kaplica. Pamiętam, że służyłem tam Biskupowi do mszy. Po obiedzie Ksiądz Arcybiskup szedł z nami na taras. Jeśli miał jakąś ciekawą książkę, dawał nam do czytania. Siadał na fotelu, a jeden z nas czytał. Męczył nas tym. Pogoda śliczna, my na rzekę się rwiemy, na łódki, do wody, a on nas tutaj trzyma. Nieraz zdrzemnął się, a przynajmniej zdawało nam się, że śpi. Kleryk przestawał czytać, a on się wtedy budził: „No czytaj, czytaj!”. Raz, kiedy zasnął, udało się nam uciec...

### **– Pamięta Ksiądz jakąś ciekawą przygodę z pobytu w Brwilnie?**

Pewnego roku naszemu seminarium jeden z plockich prałatów, ks. Wilkoński, (przyjaciel Biskupa, bardzo zamożny człowiek) zafundował łódź sportową na sześć wiosła. Do jednego wiosła jeden, siedzenia na kółkach. Nazywała się „Behemot”. Utworzyliśmy załogę. Mnie wybrali na sternika. Dumny byłem z tego. Zdarzyło się kiedyś, że przebywał z nami prałat Słonicki. Przyszedł mu do głowy pomysł, żeby Księdza Biskupa tą łodzią przewieźć do Płocka. Biskup nie bardzo się kwapił, ale ks. prałat tak go jakoś namawiał, że się zgodził. Przygotowaliśmy łódź, poduszkami wymościliśmy Biskupowi siedzenie, załoga gotowa, wszyscy w jednakowym stroju, ja za sterem i Biskup siada – płyniemy do Płocka. Takimi susami ta łódź posuwała się naprzód. Przepłynęliśmy ze dwa kilometry i od tego kiwania się łodzi Biskup nabawił się choroby morskiej i to tak silnej, że stracił przytomność. Dopływamy do brzegu, wynosimy biskupa na brzeg. Jeden z kolegów poleciał na wieś, żeby jakąś furmankę załatwić i dowieźć Biskupa do Brwilna. Tak też się stało. Przyjechała furmanka, wsadziliśmy tam Biskupa jeszcze nieprzytomnego i zawieźliśmy do „Antioniówki”. Na drugi dzień dziękował nam, żeśmy się tak natrudzili: „Mam ponad sto kilo, a wyście mnie dźwigali”. Dużo rozmawialiśmy z Biskupem. Pamiętam w Brwilnie, że często opowiadał o swoich czasach seminaryjnych, studiach, latach biskupstwa. Często o coś pytalśmy, a on odpowiadał. Ja go częstowałem swoimi bajkami, wierszykami. Marzyłem, że będzie mnie święcił. Niestety wojna wybuchła, Biskupów zamordowano...

### **– Czy w osobie Księdza Arcybiskupa dało się odczuć coś nadzwyczajnego?**

Bez wątplenia. Ja patrzyłem na niego, jak w obrazek. Kiedy odprawiał nabożeństwa bił od niego nimb świętości. Wspaniały człowiek.

**– *Które z Jego cech szczególnie zwróciły uwagę Księdza Kanonika?***

To był mądry człowiek i gorliwy Biskup. Świadczy o tym między innymi jego troska o seminarium. Pobudował Niższe Seminarium, które było jego oczkiem, często je odwiedzał, pomagał, jak mógł. Poza tym – wielka pobożność, on był zawsze rozmodlony. Można go było spotkać albo w domu, albo w kaplicy. Serdeczny dla alumnów, kochał bardzo kleryków. W skali krajowej był biskupem od spraw abstynenckich, opowiadał nam nieraz historie z tych obrad. Wymowę miał trochę trudną, zwłaszcza w starszych latach, jąkał się, zacinął, już miał taki starczy głos. Pamiętam, np. że nie mógł wymówić słów „kongres antyalkoholyczny”, mówił coś w rodzaju „kokoliczny”, mimo to był wspaniałym człowiekiem. Jego aresztowanie, potem śmierć przeżyłem bardzo boleśnie. Często modliłem się za niego, a teraz do niego.

**– *Co Ksiądz Kanonik myślał o wszczęciu procesu beatyfikacyjnego A. J. Nowowiejskiego?***

Śledziłem tę sprawę. Niepokoilem się, dlaczego tak długo to trwa. Przecież on powinien od razu być ogłoszony nie tylko błogosławionym, ale i świętym! Z jego osoby aż kapało od świętości i gorliwości. A tymczasem lata mijały. Okazuje się, że łatwiej zostać świętym niż doczekać się kanonizacji.

**– *Po wojnie prałat Helenowski walnie przyczynił się do upamiętnienia Biskupów Męczenników. Czynił wiele starań o wyniesienie ich na ołtarze...***

Ksiądz Helenowskiego znałem bardzo dobrze. Był przede mną proboszczem w parafii Wyszyny, potem przeszedł do Sikorza, wiele razy go odwiedzałem. Prowadził tam hodowlę wina. Był bardzo przedsiębiorczy. Wyrabiał wino mszalne, którym i mnie obdarzał. Żyliśmy w przyjaźni. Jakiś czas pracował wśród Polonii we Francji. Kiedyś żartobliwie mówi do mnie: „Księżę, mi się należy w Wyszytach pięć hektarów ziemi! – Niech ksiądz prałat bierze – odparłem – chętnie oddam, tylko co to za okazja?” Okazało się, że na terenie parafii mieszkał pewien dziedzic, który nie kwapił się z niesieniem pomocy kościołowi (na budowę, remonty). No i w końcu przyszedł kres jego ziemskiego życia. Proboszcz wykorzystał ten fakt, żeby ściągnąć z jego ziemi wszystkie należności, które przez lata narosły – na potrzeby kościoła. Rodzina przychodzi w sprawie pogrzebu, a prałat mówi: „Dobrze, ale najpierw pojedziemy do rejenta i zapiszecie na parafię pięć hektarów ziemi, która przylega do plebanii”. Nie chcieli. Oparło się wszystko o kurie, która stanęła po stronie dziedziców. Ale on i kurii nie posłuchał. Był uparty. Pogrzeb odwlekał się w czasie, dopóki nie zrobili aktu rejentalnego. Oczywiście ziemi nie wziął dla siebie tylko oddał na parafię. Prałat bardzo dużo robił dla uczczenia Biskupów: „kalendarzyki” z modlitwami, tajemniczki różańcowe, pulpity pod mszał, kielichy ufundował z podobiznami Biskupów.

**– *A jak zapamiętał Ksiądz biskupa Wetmańskiego?***

Biskup Wetmański to był święty człowiek. Szkoda, że tak zapomniany w diecezji. Mówił piękne kazania. Podczas jego homilii na mszach w wizytowanych



parafiach wszyscy płakali. Drugi wątek z biskupem Leonem, który mi się przypominam, jest radosny. Mimo surowych warunków życia w seminarium, klerycy lubili niekiedy robić psikusy. Pewnego dnia wymyślili zabawę, która polegała na polewaniu wodą alumnów wychodzących drzwiami seminaryjnymi w kierunku ogrodu. Ponad tymi drzwiami jest balkon, na którym oczekiwali z wiadrem pełnym wody na potencjalną ofiarę. Zdarzyło się, że w kierunku ogrodu udawał się biskup Wetmański. Skoro tylko klerycy zauważyli postać w sutannie, chlusnęli bez namysłu wodą – prosto na świątobliwego Sufragana. Dochodzenie ówczesnego rektora seminarium, ks. Strzeszewskiego doprowadziło do szybkiego wykrycia sprawcy, który miał być wydalony ze szkoły. Dowiedziawszy się o tym biskup Leon wstawił się za winowajcą, mówiąc mniej więcej takie słowa: „Księżo, my też kiedyś byliśmy młodzi i robiliśmy psikusy, proszę mu darować”. Machnąwszy ręką, dodał: „Korona mi z głowy nie spadła, bo i tak jej nie mam”.

**– Pozwolę sobie nieco odbiec od tematu. Jak Ksiądz Kanonik odebrał obecną od roku 1970 Mszę świętą w nowym kształcie, według Mszału Pawła VI? Czy możemy obie formy (przedsoborową i posoborową) porównywać? Którą wersję mszy wolał się Ksiądz modlić?**

Łaciny żałuję do dziś. Według mnie popełniono błąd pozbywając się jej, a wprowadzając do liturgii języki narodowe. Łacina była językiem całego Kościoła. Gdzie nie pojechałem za granicę, wszędzie mogłem Mszę świętą odprawić. Byłem cztery razy w Ameryce i chcąc celebrować mszę musiałem szukać kościoła polskiego. Po drugie – ja w łacinie widziałem język wspaniały do śpiewu, melodyjny. Jak się śpiewało prefację, to serce rosło, albo „Te Deum laudamus”. Mój brat należał do chóru w Szelkowie. Przed wojną, jak ksiądz ogłosił, że będą ostatnie nieszpory z „Te Deum laudamus”, to chór musiał być co do jednego. Myśmy tego „Te Deum” nie rozumieli, ale śpiewaliśmy pełną siłą, bo czuliśmy, że w tym jest coś wielkiego. A teraz, gdy mamy nabożeństwa po polsku – wszystko jest takie proste, płytkie. Do tej pory marzę, żeby nam pozwolili jeszcze po łacinie odprawić. Mówi się, że teraz każdy rozumie Mszę świętą, a ja widzę coś innego, że teraz ludzie przychodzą do kościoła, jak do teatru – nie modlą się, tylko patrzą, co się przy ołtarzu dzieje. Ksiądz się modli, a oni są tylko tego świadkami. Przecież kiedyś każdy miał książeczkę z mszą w języku polskim, więc z powodzeniem mógł w niej uczestniczyć, śledząc akcję liturgiczną. Od dzieciństwa, a potem przez całe seminarium wzrastałem w umiłowaniu liturgii sprawowanej po łacinie. Pamiętam, że w niedzielne popołudnia odbywały się w katedrze uroczyste nieszpory z udziałem księży kanoników i braci kleryckiej. Odpowiedzialnym za ich przeprowadzenie był wikariusz katedralny, którego niekiedy z dumą zastępowałem. Śpiewaliśmy „Tota pulchra est Maria...” piękne to były śpiewy i czasy...

**– Bardzo dziękuję za rozmowę.**

*Rozmawiał: Adam Matyszewski, Starożreby 08.04.2008.*